

Powitajmy uchodźców z Europy Zachodniej

2Tomasz Gabiś

W ostatnich miesiącach u naszych zachodnich sąsiadów najwięcej pisze się - co zrozumiałe - o masowej, w znacznym stopniu niekontrolowanej, imigracji z Afryki i Azji do Niemiec i całej Europy, a w tym kontekście analizuje się rolę mediów.



Zachowanie niemieckich mediów w czasie „letniej kampanii” opisał Heribert Seifert z „Neue Zürcher Zeitung”. Jego zdaniem, straciły one krytyczny dystans do przedstawianych wydarzeń, relacjonowanie przekształciło się w kampanię propagandową – monotematyczną, obezwładniającą, zajmującą jedynie słuszną postawę wobec masowej imigracji. Niemieckie media rywalizowały ze sobą, które z nich przeżyje większą moralną i emocjonalną ekstazę. Prześcigały się w okazywaniu empatii i demonstrowaniu euforii gościnności, nie myśląc o przesycie, jaki mogą wywołać u odbiorcy. Triumfowała jednostronność, branie w ramiona przybyszy z odległych krajów szło w parze z bezwzględnym zerwaniem komunikacji z bliskim niemieckim sąsiadem, który jakoś nie chciał się cieszyć z nadchodzących zmian społecznych.

Media rodem z NRD

W mediach nie było miejsca na dokładne zbadanie sprawy, na wstrzemięźliwość w ocenie faktycznej, niejasnej sytuacji, gruntowne prześwietlenie kulisów, bezstronność przy prezentacji zróżnicowanych poglądów, analityczne podejście skierowane – ponad tym, co aktualne – ku skutkom i przyszłym problemem – to wszystko stało się niestosowne.

Wezwanie stałego komentatora z tygodnika „Der Spiegel” do uprawiania „nowego dziennikarstwa”, bardziej aktywistycznego i zaangażowanego, zostało spełnione z nawiązką. Relacje, komentarze, artykuły stawały się coraz większe objętościowo, a jednocześnie coraz bardziej powierzchowne, coraz mniej różnorodne. Relacjonowanie było maksymalnie emocjonalne, naruszano profesjonalne standardy. Doszło do tego, że komentator z programu „Heute Journal” (ZDF) Claus Kleber tak się wzruszył gościnnością wobec uchodźców, że uronił na wizji autentyczną łzę.

Fotografia martwego chłopca na plaży w Bodrum przyczyniła się do zmobilizowania polityków oraz, jak napisał tygodnik „Die Zeit”, do „zsynchronizowania uczuć całego kraju” [właściwie powinno być „całego narodu”, ale „Die Zeit” stara się unikać słowa „Volk” (naród), żeby nie zostać posądzonym o myślenie „volkistowskie” - TG]. Dziennikarze byli całkowicie bezkrytyczni wobec jednych polityków, natomiast wobec innych np. węgierskich, przybierali wyłącznie pozę prokuratorów. Nigdy wcześniej Angela Merkel nie była tak jednomyślnie i bez zastrzeżeń wychwalana pod niebiosa jak podczas

letniej kampanii. Przebił wszystkich dziennikarz „Frankfurter Allgemeine Sonntagszeitung” swoimi kiczowatymi wtrętami o tym, z jak ogromną empatią i czułością odnosi się pani kanclerz do dzieci. Problemy były w ten sposób prywatyzowane i depolityzowane, krytycznych pytań nie stawiano.

Pisarz Michael Klonovsky zauważył, że nie można było otworzyć gazety, włączyć stacji telewizyjnej, a nawet kliknąć na mailowego usługodawcę, żeby nie chlusnęła człowiekowi w twarz radosna proimigracyjna propaganda, naszpikowana statystycznymi bajeczkami, zuniformizowana jak za czasów realnego socjalizmu. Niejednokrotnie wskazywałem – przypomina Klonovsky – na podobieństwa pomiędzy metodami działania naszych socjalistycznych mediów i mediów enerdowskich. To się sprawdziło obecnie.

Klonowski wyśmiewa niesłychane wręcz nonsensy, jakimi posługują się dziennikarze (a także politycy), aby przekonać czytelników czy widzów, do zaakceptowania masowej imigracji. Nagle ludzie imigrujący do europejskich systemów socjalnych stają się podobni do Europejczyków osiedlających się w XIX w. w USA. Dziennikarze przekonują z pełną powagą, że podobnie jak kiedyś Niemcy z zachodnich prowincji przyjęli i zintegrowali miliony rodaków wysiedlonych przymusowo z prowincji wschodnich Rzeszy, tak samo dzisiejsi Niemcy powinni przyjąć setki tysięcy lub miliony imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu, ponieważ są to zjawiska analogiczne! Takie drobiazgi jak to, że należeli oni do jednego narodu, mieli tę samą historię i podobną mentalność, mówili tym samym językiem, przynależeli do tej samej chrześcijańskiej kultury itd. , nie ma żadnego znaczenia!

Konserwatywny publicysta Thorsten Hinz z kręgu tygodnika „Junge Freiheit” (podobnie jak Klonovsky dorastający w NRD), dostrzega w tym, co objawiło się latem w mediach, „powrót dziennikarzy jako przekazańników”. Podejście mediów do masowej imigracji można komentować tylko z sarkazmem: oto przybywają do nas kardiochirurdzy, informatycy, rzemieślnicy o złotych rękach, opiekuńczy pielęgniarze, wszyscy gorączkowo czekający na okazję, aby móc zwiększyć nasz produkt krajowy brutto, uzdrowić i wzbogacić nasz system opieki socjalnej a wyludnione okolice na wschodzie przekształcić w kwitnące krajobrazy. W całym kraju tworzą się spontanicznie komitety powitalne i wszystko byłoby super, gdyby nie „ciemne, rasistowskie, prawicowe” siły, szczujące przeciwko uchodźcom, organizujące demonstracje przeciwko imigrantom itd. Hinz pisze, że coraz trudniej zaprzeczyć, iż ta medialna praktyka podobna jest do tej z NRD. Tak jak latem 1989 r., kiedy NRD wchodziła w stan zapaści, dziennikarze pisali o pełnych inicjatywy pracownikach, którzy przekraczali normy planu, o zbiorowej radości z powodu zbliżającego się kolejnego zjazdu partii; niestety, wróg klasowy ze wszystkich sił starał się sabotować szczęście panujące w niemieckim państwie socjalistycznym.

Były to wówczas i są dzisiaj, hermetycznie zamknięte na rzeczywistość medialne światy. Jednak nie docieramy do istoty rzeczy, kiedy diagnozujemy oderwanie od realnego życia, internalizację szaleństwa, mentalność obłożonej twierdzy. Jak bowiem pokazują badania nad samoświadomością i funkcją dziennikarzy w NRD, dla dziennikarskiego cechu typowa była mieszanka złożona z braku złudzeń i konformizmu. Jedno łączyło dobrze zarabiającego cynika, zakutego dogmatyka czy zwykłego durnia – wszyscy oni pełnili funkcję „przekazańników”. Do nich przepływały informacje z partii, które przekazywali dalej. Ponadto sami mieli instruować masy, byli wszak partyjnymi funkcjonariuszami. Obecnie nie istnieje w Niemczech jedna partia państwowa posiadająca monopol władzy i informacji, ale korytarz opinii zawęża się w miarę jak partie stają się coraz bardziej nieodróżnialne od siebie. Funkcja większości dzisiejszych niemieckich dziennikarzy zbliża się do tej z NRD: zamiast relacjonować i analizować rzeczywistość sugerują opinie i propagują światopoglądy, grożą i instruują jak należy się zachowywać. Stałe powtarzanie absurdalnych opinii i argumentów ma przekonać odbiorcę, że absurdalne sytuacje są nieuniknione i normalne.

Podobieństwo pomiędzy konformizmem dzisiejszych mediów a tym rodem z NRD jest uderzające. Co ciekawe, nawet kryzys mediów (spadek nakładów czy oglądalności) nie wywołuje wśród nich

rywalizacji o większe zbliżenie do życia, o większą różnorodność opinii i otwartość na różne poglądy, choć skądinąd wiadomo, że tego właśnie publiczność sobie życzy. Instytucjonalne ograniczenia kompleksu polityczno-medialnego, który swoim szeregowym członkom nie pozostawia żadnej alternatywy, są tak silne, że dopuszczenie większego pluralizmu i wykorzystanie zasady podaży i popytu jest niemożliwe. Dziennikarze wolą oportunistycznie wyczekiwać na rozwój wypadków niż podjąć ryzyko wyłamania się z jednolitego frontu. W sytuacji spadających nakładów i spadku oglądalności, nikt nie wie, czy stacja telewizyjna lub gazeta nie zbankrutuje, nie zacznie zwalniać, albo czy nie dokona fuzji z konkurencją. Aby być przygotowanym na któryś z tych przypadków i zachować możliwość znalezienia sobie przytuliska gdzie indziej, dziennikarze orientują się na przeciętność nie niosącą ze sobą żadnego ryzyka. To z kolei potęguje jeszcze procesy upodobnienia. Gazety i czasopisma wydają się widzieć wyjście w systemie podobnym do finansowanego z podatków, abonamentu radiowo-telewizyjnego; w tym upatrują szansy na finansową asekurację. Dlatego podkreślają swoją niezbędność z punktu widzenia polityki państwa, a żeby o tym przekonać polityków, podbudowują argumenty konformizmem wobec władzy. Kiedy taka kalkulacja staje się dominująca, oddalenie od czytelników i widzów jest traktowane jako mniejsze zło. Aby jednak zachować poczucie własnej godności i niezależności, przymusy, jakim się podlega, przedstawia się jako wolny wybór. Sprawia to, że pod względem ideologicznym wypowiedzi usztywniają się jeszcze bardziej, co nie oznacza, że są w pełni zgodne z wewnętrznymi przekonaniem tych, którzy je wygłaszają.

Nieprzewyciężone dziedzictwo nazizmu

Niektórzy prasoznawcy wywodzą pewne cechy enerdowskich dziennikarzy z nie do końca przewyciężonego dziedzictwa narodowego socjalizmu, które w RFN zostało „przepracowane” i „powoli zanikło”. Być może, ale – zauważa Hinz – totalitarne wzorce zachowań już dawno się zregenerowały w zjednoczonych Niemczech, gdzie obecnie dominuje typ dziennikarskiego przekątnika, który kroczy zdecydowanie po drodze ideologicznego, zawodowego i moralnego bankructwa, tłumiąc przy tym wszelkie wątpliwości. O jego przyszłych zadaniach w obliczu masowej imigracji można było przeczytać w berlińskim „Tagesspiegel”. Według gazety, projekt „Oświecenie”, który dotknąłby najgłębiej zakorzenionych socjokulturowych nastawień i postaw Niemców oraz innych Europejczyków, byłby jako zadanie polityczno-edukacyjne porównywalny do „reedukacji” prowadzonej przez Amerykanów i Brytyjczyków po 1945 r. w Niemczech Zachodnich. Dziennikarz jako inżynier ludzkich dusz i narzędzie w rękach nad-władzy! NRD 2.0 jest czymś więcej niż tylko urojeniem – konkluduje Hinz.

Mieszkający w Wiedniu publicysta Martin Lichtmesz, związany z czasopismem „Sezession”, autor książki Kann nur ein Gott uns retten? (Czy tylko Bóg może nas uratować?), ponownie przetłumaczył znaną książkę Jeana Raspaila Obóz świętych i przygotował dla wydawnictwa Antaios jej nową edycję. (...)

Lichtmesz z uwagą śledził i komentował kampanię medialną wokół masowego napływu imigrantów do Austrii i Niemiec. Zgadza się z tymi, którzy twierdzą, że dystopia Raspaila staje się na naszych oczach rzeczywistością, a każdy dzień przynosi nowe, niesamowite wręcz, przykłady pokrywania się życia z fikcją literacką, Lichtmesz wskazuje na pewne różnice. Na gazetowej fotografii przed ośrodkiem dla uchodźców w Berlinie widać młodych mężczyzn, pochodzenia arabskiego, w większości, na oko, poniżej trzydziestu lat, należących do „youth bulge”, których Gunnar Heinsohn uważa za siłę napędową wojen i rewolucji. Nie są podobni do wynędzniałych, wychudłych postaci z powieści Raspaila, przeciwnie, są niecierpliwi i naładowani energią, niektórzy śmieją się wesoło do kamery, pokazują znak zwycięstwa, zachowują się więc raczej jak zwycięzcy i zdobywcy, do których należy świat (Europa).

Media – pisze Lichtmesz – prowadziły regularny dywanowy nalot psychologiczny, mentalne „moral

bombing”, wszędzie te same nagłówki, te same opowieści, bez końca powtarzano tę samą śpiewkę. To unisono mogło wywołać dreszcz przerażenia. Obserwować było można totalne „zglajchsztaltowanie”; niemiecki rynek prasowy, kiedyś na poły pluralistyczny, przekształcił się w jedną olbrzymią „Prawdę” z tysiącem łbów hydry, które raz syczą, raz seplenią, a znowu innym razem schlebiają, w sumie nie mają nic wspólnego z poszukującym, informującym, analizującym dziennikarstwem.

To co przeżywali Niemcy w te letnie dni to nic innego jak pranie mózgow, wojna psychologiczna w wielkim stylu, czysta, naga propaganda i masowa manipulacja, wywoływanie i podtrzymywanie masowej psychozy. Najwyżsi kapłani od sterowania „opinią publiczną” zachowywali się w stosunku do publiczności jak psychopaci, którzy mózgi swoich ofiar na zmianę karmili pochlebstwami, moralnym szantażem i groźbami, i kłamstwami, aby utraciły twarde gruntu pod nogami. Demonstrowali obywatelom ich bezsilność, aby wpędzić ich w depresję i zapewnić sobie ich uległość. Posuwali się nawet do apelowania do poczucia narodowego, do idealizmu, poświęcenia, poczucia wspólnoty – nawet ci, którzy jeszcze niedawno takich słów do ust nie brali z obrzydzenia – byleby tylko Niemców zwabić i zinstrumentalizować dla swoich celów. Mówili o „historycznych zadaniach stojących przed narodem”, w prasie można było przeczytać, w całości złożone z sloganów, teksty typu: „Największe zadanie Niemiec. Napływ uchodźców da naszemu społeczeństwu nowe oblicze. Kraj czeka historyczne zadanie. Nigdy przedtem tak wielu ludzi nie szukało u nas azylu. Oni zmieniają kraj – to jak razem żyjemy, pracujemy, mieszkamy, myślimy. Uchodźcy tworzą nowe Niemcy”. Wszyscy mówią o „Nowych Niemczech”, jakie powstaną dzięki masowemu napływowi imigrantów, niepomni (?), że tytuł „Neues Deutschland” nosił centralny organ SED. Przyjęcie mas imigrantów i ich ugoszczenie nagle stało się „czynem patriotycznym”. Niemcy zjednoczeni jak jeden mąż mają zrealizować wielką historyczną misję, a każdy, kto ma wobec niej krytyczne nastawienie, ten jest wrogiem przepełnionym nienawiścią. (...)

Podprogowo, a niekiedy wprost, trafiano w niemiecką neurozę: trzeba ratować prześladowanych uchodźców („Żydów”) uciekających przed Assadem, Państwem Islamskim („nazistami”) i w ten sposób dostąpić moralnego oczyszczenia. „Czerwony dywan dla imigrantów! Niemcy powinny powitać imigrantów z otwartymi ramionami. To nie jest tylko nakaz moralny, to będzie z korzyścią dla nas wszystkich” – raz odwołuje się do bezwarunkowych nakazów moralności współczucia i miłosierdzia, do bezinteresownej gościnności, a zaraz obok obiecuje się materialne korzyści i zagwarantowane, dzięki harującym imigrantom, emerytury. Propaganda grała na wszystkich możliwych fortepianach. Apelowano do klasy średniej i odwoływano się do jej wartości, akcentując społeczne dystynkcje: ten kto „działa na rzecz uchodźców” stoi wyżej nie tylko moralnie, ale i społecznie: tu mieszczaństwo, tam proleci i „hołota” (socjaldemokrata Sigmar Gabriel o przedstawicielach ludu).

Odgrzewano podział na oświeconych „zachodniaków” i zacofanych, nieoświeconych na „zachodnią” modłę „wschodniaków”. „Wschodniacy” okazują się bowiem bardziej odporni na „nazistowską maczugę” i nie dają się tak łatwo manipulować jak „zachodniacy”, którym przez lata udało się wpoić odpowiednie odruchy (zauważmy, że tym samym w propagandzie polityczno-medialnej dawną NRD dołączono do pozostałych „ksenofobicznych” krajów – Polski, Słowacji, Czech i Węgier).

Z jednej strony sugeruje się, że przybywający masowo imigranci to ludzie „tacy sami jak my”, a z drugiej zapowiada, że Niemcy czeka gruntowana transformacja, że uzyskają „nowe oblicze”, co zakłada, że przybysze są od nas odmienni. Wszystko to opakowane w sugestię, że całe Niemcy zobowiązane są, aby z całych sił brać udział w tej transformacji, która jest nie do uniknięcia, nie do zatrzymania i nie ma dla niej alternatywy. Masowa imigracja jest niczym zjawisko naturalne, przeciwko któremu nie ma sensu protestować. Niemcy są krajem imigracyjnym, z tym nieodwracalnym faktem można się jedynie pogodzić. Jako oczywistość przedstawia się to, że uchodźcy starający się o azyl, pozostaną tu na zawsze, przejmą kraj i go zmienią. Zapewne – zgadza

się z tym Lichtmesz - zmieniają: będą wypychać Niemców z ich przestrzeni, robić z nich mniejszość we własnym kraju, narzucać im swoje obyczaje, rozbudowywać społeczności równoległe, gwałtownie przyspieszać islamizację, a także - o czym mówią doświadczenia z przeszłości - znacząco podniosą wskaźniki przestępczości, gwałtów, molestowania, jak i antyniemieckiego rasizmu. (...)

Tolerancyjni mogą nienawidzić

Baranem-przewodnikiem stada dla całej „niemieckiej prasy” był tygodnik „Der Spiegel” publikujący w stylu północnokoreańskim, np. na okładce bije w oczy nagłówek „helles Deutschland” (niemiecki Jasnogród). Do tego obraz radosnych, niemieckich dzieci, puszczających kolorowe balony w kształcie serca w jasnoniebieskie letnie niebo. Kiedy przewrócimy stronę, objawia się diametralnie odmienny widok: zły, mroczny, wywołujący nienawiść napis „dunkles Deutschland” (niemiecki Ciemnogród), oczywiście we frakturze, a do tego fotografia płonącego domu na tle brudnego, brunatno-czarnego, nocnego nieba. Oto alternatywa, którą prezentuje „Spiegel”: albo zdecydujemy się na wesoły, jasny kraj, gdzie radosne dzieci puszczają kolorowe balony, albo na czarny, śmierdzący, zły, brutalny, pogromowy, „nazistowski” koszmar. Ci co zawsze byli pierwsi, aby innych oskarżać o stosowanie manichejskich podziałów i czarno-białych schematów, przebili wszystkich w „manichejskim” prymitywizmie przekazu; założonym adresatem tego typu demagogicznej propagandy mogą być wyłącznie zinfantyliżowani i umysłowo niedorozwinięci dorośli (już przed wielu laty jeden z konserwatywnych publicystów niemieckich nazwał „Spiegla” „organem prasowym niemieckiej ćwierćinteligencji”).

W tekście „Empatia i patologiczny altruizm” Lichtmesz pisze, że lewicowe media, jakimi w trakcie letniej kampanii stały się wszystkie media w Niemczech, zarzucały krytykom masowej imigracji brak „współczucia” i brak „empatii”; jest to częsty, stary jak świat, zarzut lewicowców wobec „prawicowych” oponentów, których przedstawia się jako „bezlitosnych faszystowskich Terminatorów”. Oni sami natomiast to ludzie współczujący, empatyczni, ba, wprost napęczniali od tego współczucia i empatii niczym kleszcze opite krwią, omal nie pękną z nadmiaru współczucia i empatii, ich wypięta pierś jest upstrzona błyszczącymi medalami przyznanymi za empatię i współczucie, które z dumą demonstrują. Empatia i współczucie kapią z ich ust niczym stróżki miodu, podczas gdy z języków spływają mało empatyczne i współczujące słowa o pół-ludzkich istotach, które wypełzły z ciemnych nor na światło dzienne i ośmielają się protestować przeciwko masowemu zajmowaniu ich świata przez Obcych. Jako „ludzie najbardziej ludzcy z ludzi” mogą bez żadnych hamulców nienawidzić podludzi i autorytarnie zamykać im usta. Oto mistrzowie świata w empatii - krzyżówka Matki Teresy i Józefa Stalina.

Medialna kampania związana z „kryzysem imigracyjnym” stanowi - według Lichtmesza - element strategii na wyczerpanie, której celem jest zduszenie w ludziach zachodniej cywilizacji elementarnych odruchów asertywności, samoafirmacji, akceptacji i obrony własnej tożsamości, godnej zachowania i obrony z tej prostej przyczyny, że jest „nasza” i „własna”. Rezultatem jest zbiorowa forma „patologicznego altruizmu” definiowanego przez naukowców jako „niezdrowe obsesyjne koncentrowanie się na dobru innych przy zaniedbywaniu potrzeb własnych i potrzeb bliskich”. Patologiczni altruści sami robią sobie krzywdę, działają na własną szkodę, błędnie wierząc, że to oni spowodowali cierpienia innych albo że mają środki, aby kogoś wybawić od jego cierpienia. Towarzyszy temu często bezkrytyczny stosunek do siebie i poczucie moralnej wyższości.

Niektórzy badacze patologicznego altruizmu jego genezę lokują już na poziomie biologicznym. Kobiety częściej niż mężczyźni pragną się dobrze czuć wśród innych ludzi i podobać się im; w większym stopniu nastawione są na współpracę, są bardziej uczynne, potrafią też lepiej odgadywać potrzeby innych ludzi, politycznie są w naturalny sposób „lewicowo-liberalne” i uważają, że rząd powinien troszczyć się o ludzi. To niższy poziom testosteronu powoduje wyższy poziom empatii, stąd kobietom grozi, że ich naturalny altruizm przekształci się w altruizm patologiczny, którego

odpowiednikiem, na przeciwnym biegunie, jest autyzm, zwłaszcza w formie zespołu Aspergera, dotykający przede wszystkim chłopców, i charakteryzujący się niezdolnością do wczucia się w emocje i uczucia innych ludzi. Prawdopodobnie istnieje tyle samo kobiecych patologicznych altruistów co patologicznych męskich autystów. Badacze patologicznego altruizmu nie zajmowali się dotąd współczesnym „człowiekiem Zachodu”, a przecież członkowie tych „podlegających do gościnności i empatii” grup z entuzjazmem witający na dworcach przybyszy z Azji i Afryki, którzy zajmą ich miejsce, stanowiliby wdzięczny obiekt badań.

Już po przetoczeniu się fali imigrantów Lichtmesz pojechał na wiedeński dworzec, gdzie zastał empatyczne osoby w typie „Social Justice Warriors”, kobiety, dziewczęta, mężczyzn o łagodnych, ufnych, lekko kobiecych twarzach. Odnosiło się wrażenie, że „barbarzyńcy”, o których pisał Kawafis, stanowią dla nich rozwiązanie ich własnych problemów. Na peronie piętrzyły się stosy zabawek, przygotowane zapewne dla dzieci imigrantów, ale widocznie dzieci było za mało. Miałem ochotę, wyznaje Lichtmesz, podejść do jednej z pań i powiedzieć: „Mam radę: ci chłopcy, którzy tu przybywają, chętniej pobawiliby się innymi rzeczami” [w oryginale gra słów: „Ding” - rzecz, „Ding” - młoda dziewczyna - TG]. Ci ludzie z ich łagodną naiwnością, przypominali Lichtmeszowi dziecięcych elojów z Wehikułu czasu Herberta George’a Wellsa, te przerasowane, niewinne istoty schyłkowej cywilizacji, które barbarzyńskim morłokom służyły jako kanibalistyczne źródło pożywienia. Dostrzegł w nich dzieci o wypranych mózgach, zaślepione, podburzone, które najeźdźcom otwierają bramy, wierząc, że zostaną oszczędzone i party będzie trwało wiecznie, nieświadome, że bardzo szybko mogą stać się seksualnym łupem zwycięskich wojowników.

Opisy działania niemieckich mediów w czasie „kampanii proimigracyjnej”, jakie przedstawili Klonovsky, Lichtmesz i Hinz, pokazują, niejako w stanie laboratoryjnym, jak będą funkcjonować media w dojrzałym, „realnym społeczeństwie wielokulturowym”. To co obecnie było zmasowaną kampanią, która po pewnym czasie uspokaja się i wygasa, stanie się powszednią normą.

Angela Merkel w wiecznej niełasce

„Kryzys imigracyjny” wywołał oczywiście wiele głosów na temat kanclerz Merkel, jej polityki i stylu sprawowania władzy. Lichtmesz twierdzi, że Merkel jako Największa Mamuśka Wszechczasów jest na najlepszej drodze, by zostać Honeckerem RFN. Idzie o coś więcej niż o kanclerstwo Merkel, o chadecję, o kwestię możliwości państwa: idzie ni mniej ni więcej o ostateczne rozmontowanie Niemiec jako państwa i narodu niemieckiego jako etnokulturalnej jedności. Otwarcie przez Merkel śluz dla niekontrolowanej masowej imigracji mogło być pochopne i nieprzemyślane, jednakże nie jest ono niczym innym jak kulminacją polityki, którą ona i jej poprzednicy prowadzili już od dziesięcioleci, najpóźniej od chwili, kiedy „gastarbeiterzy” stali się imigrantami, i od czasu, kiedy „wielokulturowe społeczeństwo”, czyli transformacja Niemiec w „państwo wielonarodowe”, została ogłoszona jajkiem Kolumba „kwestii niemieckiej”. Skupiając się na Merkel, traci się z oczu o wiele głębszy problem wieloletniej błędnej polityki imigracyjnej i polityki tożsamości. Merkel może stać się kozłem ofiarnym, na którego zrzuci się odpowiedzialność za ewentualne fiasko tej polityki

Merkel, ta „kobieta bez właściwości”, zawsze wydawała mi się - pisze Lichtmesz - kroczącą bańką władzy, wewnątrz całkowicie wydrażoną, kierowaną nieomylnym instynktem, skąd wieje wiatr, ale dlatego właśnie bardziej gnana przez okoliczności niż je tworząca. Krażłość, miękkość, niemal milutkość postaci, jej jakby nieśmiała sylwetka, połączona z lekko protekcyjnym gestem i spojrzeniem guwernantki lub nauczycielki, która przemawia do narodu jak do pierwszoklasistów - ten habitus idealnie pasuje do infantylnego stadium końcowego Republiki Federalnej. Za pozą mamuśki i kwoki czai się coś pasywno-agresywnego, przytłaczającego, łagodnie manipulatorskiego. Nie potrafię zgłębić - przyznaje Lichtmesz - czy jest inteligentna czy głupia, cwana czy naiwna, czy sama wierzy w brednie, które wygłasza, czy też nie, czy jest zaślepioną idealistką czy wyrachowaną kłamczuchą, faktem jest tylko to, że zdradza interesy narodu, czego ten - w dużej mierze otepiały -

nawet nie zauważa.

Klonovsky jest zdania, że nigdy jeszcze w niemieckiej historii, wyjąwszy owe nieszczęsne 12 lat, nie było w takim stopniu możliwe dyskredytowanie zwykłych obywateli, obrzucanie ich inwektywami, obrażanie i zbiorowe poniżanie jak w późnej erze Merkel, kiedy każdy, kto nie wita z hałaśliwym entuzjazmem niekontrolowanej masowej imigracji, jest wystawiony na ostrzał jako „ciemny Niemiec”; mogą ryczeć na niego „multi-media”, tak jak wcześniej każdego eurosceptyka oskarżały o nienawiść do Europy, a każdego konserwatystę piętnowały jako tępaka. I to wszystko pod egidą kobiety, która sama przeżyła NRD, ale widocznie albo za mało, albo za dużo nauk z tamtego reżimu wyciągnęła.

Gdyby ktoś dyskretnie zapytał panią kanclerz, czy swoją polityką służy interesom narodu niemieckiego, prawdopodobnie uznałaby to pytanie za żart; dokładnie tak samo można by zapytać Merkel, jak dalece czuje się zobowiązana wobec języka niemieckiego. Powoli wielu Niemcom zaczyna świtać w głowach, że zniszczenia, jakie Merkel wyrządza niemieckiej składni, są lilipucie w porównaniu z tymi, które wyrządziła w rzeczywistości. Demolki powiodły się, ale jakim celom służą? Wymieńmy jej wielkie czyny: zniszczyła CDU jako partię konserwatywną i przejęła w całości czerwono-zielony program, łącznie z polityką rodzinną – w „zieloną energię” chyba jako fizyk nie wierzy, ale po osobie, która mówi tak prymitywnym niemieckim, trudno oczekiwać, że przejmie się panelami słonecznymi na dachu katedry w Ulm albo wiatrakami w parku Sanssouci lub na grzbiecie Lasu Turyńskiego; załatwiła niemiecką gospodarkę energetyczną, złamała prawie każdy unijny traktat, wielokrotnie łamała niemiecką konstytucję i niemieckie prawo, znacząco podkopała fundamenty niemieckiej solidności finansowej. (...)

Wszystko to razem sprawi, że wielu zachodnich Europejczyków, zwłaszcza tych inteligentnych, przedsiębiorczych, dynamicznych, kreatywnych uda się na emigrację. Część wyjedzie na dalszy zachód (USA, Kanada), a część na wschód. Coraz więcej ludzi będzie uciekać spod opresywnej władzy multikulturalistów, od panującej ideologii antyrasizmu (będącego zakamuflowanym rasizmem skierowanym przeciwko Białym) do Polski, Czech, na Słowację, na Węgry. Na dworcach będziemy z transparentami „Refugees Welcome!” witać Niemców, Belgów, Szwedów, Francuzów, Holendrów i innych uchodźców z zachodniej Europy, szukających u nas wolności, lepszych warunków życia, możliwości zakupu ziemi i prowadzenia biznesu. Jestem pewien, że Polacy okażą im wiele empatii i przyjmą z otwartymi ramionami.

Źródło przedruku: <http://portal.arcana.pl>

Jest to skrócona wersja artykułu Tomasza Gabisia. Całość została opublikowana w 125 numerze dwumiesięcznika „Arcana”.